

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 9 (286) • ROK XXV • WRZESIEŃ 2019



KATOWICE
PRZESZŁOŚĆ I WSPÓŁCZESNOŚĆ

ISSN 1425-3917



09

9 771425 391707

Jaki Śląsk oglądałaś oczyma dziecka?

Mój Śląsk był kolorowy. Zawsze patrzę na życie przez pryzmat ludzi. Stworzyliśmy z rodzeństwem świetną paczkę. Należało do niej również nasze kuzynostwo. Dzieciństwo było dla mnie czasem zabawy.

Tak to już jest, że wspomnienia u ludzi optymistycznie nastawionych do świata z każdym rokiem stają bardziej barwne.

A z czym kojarzysz Śląsk dzisiaj?

Urodziłam się w Tarnowskich Górach, w dużej śląskiej rodzinie, ze śląskimi tradycjami. Wciąż żyje moja babcia, która ma dziewięćdziesiąt osiem lat i która obecnie mieszka w Niemczech. Często się spotykamy. Nie tylko od święta. Najważniejsze jest bycie razem. Na przykład w każdą sobotę w domu mojego brata na obiad jest żur śląski. Bez względu na wszystko gar żuru czeka u niego na całą rodzinę. Kto może, przyjeżdża... Najbardziej ze Śląskiem kojarzy mi się więc rodzinność. Podtrzymujemy tę tradycję.

Mówiło się w twoim domu gwarą?

Oczywiście, stąd i moja znajomość gwary. Podszlifowałam ją podczas pracy przy *Cholonku*, spektaklu katowickiego Teatru Korez. Kiedy byłam na studiach, ta gwara wcale mi nie pomagała... Akcent śląski nie był wówczas mile widziany. Czułam się wtedy trochę stłamszona, ale odułam sobie to wiele, wiele lat później przy śląskich spektaklach...

A Śląsk jako przestrzeń?

Śląsk to ziemia, na której się urodziłam. W moim przypadku to właśnie Tarnowskie Góry, zabytkowe miasteczko z wielkimi tradycjami, z Zabytkową Kopalnią Srebra, która niedawno wpisana została na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Tarnowskie Góry mają duże tradycje artystyczne. To miasto sztuki i kultury.

A prywatnie — mój tato jest malarzem. Wychowywaliśmy się praktycznie w jego pracowni malarskiej, wśród farb i obrazów...

Co takiego się stało, że dziewczyna z Tarnowskich Gór zapagnęła zostać aktorką a nie malarką?

W ślady ojca poszedł mój brat. Został rzeźbiarzem. Ogromny talent malarski miała moja siostra, Aurora. Ostatecznie jednak zdecydowała się na taniec. Współpracuje z teatrami tańca współczesnego. Tańczy na polskich i brytyjskich scenach. Teraz jest bardziej performerką. Nazywam ją drugą polską Abramowicz. Robi wyjątkowe performensy, a nie ma w Polsce zbyt wielu artystów działających w tej dziedzinie.

Moja droga zawodowa ukształtowana została w pewnym sensie przez moje dwie wychowawczynie — polonistki. Pierwsza, ze szkoły podstawowej, cudowna pani Aleksandra Konieczna, zaszczerpiła we mnie miłość do poezji. W czwartej klasie wygrałam Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Od tego rozpoczęła



Barbara Lubos podczas występu „Świat w Obłokach” 25 marca 2018 w Centrum Kultury Łomianki.

Śląsk daje nadzieję

Z BARBARĄ LUBOS,

aktorką teatralną, filmową i telewizyjną, związaną z Teatrem Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach rozmawia

GRZEGORZ ĆWIERTNIEWICZ

się moja przygoda z występami. To były pierwsze nieśmiałe kroki. Druga, z liceum, pani profesor Janina Krawczyk, założyła z nami bardzo prężnie działający kabaret. Pisaliśmy swoje teksty i braliśmy udział we wszystkich możliwych konkursach. Dzięki występom w domach kultury, obyłam się ze sceną. To właśnie pani Kowalczyk zapytała mnie, czy nie chciałabym spróbować zdawać do szkoły aktorskiej.

Zdecydowałaś się na studia aktorskie we Wrocławiu. Dlaczego nie w Krakowie czy Warszawie?

Najpierw zdawałam do Krakowa. Nie udało się. Przez cały następny rok sama pracowałam intensywnie nad sobą — nad wymową, nad tekstami. I dostałam się do Wrocławia. Jako że kończyłam oprócz dramatu wydział pantomimiczny, szczególnie zapamiętałam wspaniałe zajęcia

z Jerzym Kozłowskim, wybitnym aktorem z przedstawień Henryka Tomaszewskiego.

Odległość między Tarnowskimi Górami a Wrocławiem to mimo wszystko prawie dwieście kilometrów!

Ale Wrocław to piękne miasto! Poza tym były fantastyczne połączenia kolejowe, których dzisiaj już nie ma. Uwielbiałam jeździć pociągami lokalnymi do Opola. Pejzaże na tej trasie były i są niesamowite. W Opolu przesiadałam się na pociąg do Wrocławia. Bardzo miło wspominałam tamten czas. Z sentymentem wracam do dnia, w którym jechałam na egzamininy wstępne — z Tarnowskich Gór na podbój świata...

Do rodzinnego miasta pojedziesz po latach z monodramem *Kamień. Rzecz o Edycie Stein*. Dostaniesz wtedy zresztą nagrodę od burmistrza. Nie tylko za to przedstawienie, ale również za działalność na rzecz kultury... Skąd pomysł właśnie na opowieść o życiu świętej Kościoła katolickiego?

Podczas jakiegoś wernisażu poznałam dwie wspaniałe siostry – Anetę i Elżbietę Więcek. Kończyły wtedy filozofię w Katowicach. Były zafascynowane postacią Edyty Stein i bardzo zagłębione w jej życie i podejście do świata. Zapytały mnie podczas tego wernisażu, czy nie zainteresowałbyś mnie taki właśnie materiał. Po jakimś czasie przedstawiły napisany przez nie tekst...

Od razu monodram?

Nie. Najpierw sztukę na większą liczbę osób. Bez żadnego wsparcia finansowego wystawiłyśmy ją w Galerii „Pod-Nad”, galerii malarskiej, należącej do moich rodziców. To było totalne szaleństwo. Ja zagrałam Edytę Stein. Zorganizowałyśmy też chór, składający się z czterdziestu dziewczyn, które napisały muzykę rozpisaną na głosy, nawiązującą do czasów Karmelu. Mieliśmy muzykę Bronisława Dużego, wybitnego katowickiego muzyka, puzonisty, wykładowcy Akademii Muzycznej. Mój brat, Artur, jako że jest plastykiem, przygotował scenografię i światła. Wszyscy zgodzili się pracować dla idei, dla Edyty Stein. Poza tym, jak już wspomniałam, tekst był naprawdę świetnie napisany.

Zdecydowaliście się jednak na zmianę formuły.

Potem to trochę ewoluowało. Ciężko było grać w tak rozbudowanej formie. Dziewczyny przepisały to na monodram. To był dobry pomysł, bo monodram spotęgował wrażenie samotnej drogi Edyty Stein. Udało się wydobyć dramaturgię jej postaci. Grałam ten spektakl w bardzo wielu miejscach – i w Polsce, i w Niemczech. To było dla mnie bardzo ważne i pod względem osobistym — duchowym, i artystycznym. Po raz pierwszy mogłam spróbować swoich sił w tej formie teatralnej.

A jak na to przedstawienie reagowała publiczność?

Cisza, skupienie i wzruszenie. Niektórzy po raz pierwszy usłyszeli o Edycie Stein. To było ważne.

Spodziewałaś się, że jako dwudziestolatka zostaniesz laureatką Przeglądu Piosenki Aktorskiej?

Było to w 1991 roku. W tamtych czasach bycie laureatką odczytywało się naprawdę jako duży sukces. Rządził się on wtedy zupełnie innymi prawami. Etapów do finałowego koncertu było sporo. Znaleźć się w dziesiętce laureatów, to już było coś. Bardzo cenię sobie to doświadczenie. Przesłuchiwał mnie profesor Aleksander Bardini. Było to moim szczęściem i nieszczęściem. Szczęście i zaszczyt – bo mnie przesłuchiwał, nieszczęście – bo śpiewałam w zupełnie niekonwencjonalny sposób, jeszcze nie do końca przyjęty. Zaczęła wchodzić dopiero szkoła Wojtki Kościelniaka... Ktoś mi powiedział, że Bardini, słuchając mnie, miał uszy przytknięte i w ogóle na mnie nie patrzył...

Co wtedy śpiewałaś?

Robiłam wariację na temat piosenki *Celina* taty Kazika – Stanisława Staszewskiego. Repertuar był nie ten. Obowiązywał kanon śpiewania na czarno, bez ruszania się, a ja odstawiłam tam jakiś kabalet, jakieś szaleństwo. To było nowe myślenie o piosence aktorskiej, wprowadzone właśnie przez Kościelniaka. To był czas przełomu. Zapoczątkował go Mariusz Kiljan, kiedy zaśpiewał, lekko błaznując, piosenkę Stinga *Księżyc nad Bourbon Street*. Za swoją interpretację otrzymał zresztą nagrodę Grand Prix na XV Przeglądzie Piosenki Aktorskiej.

To był pierwszy poważny sukces. Bardzo szybki sukces...

Pomimo że minęło od niego już wiele lat, wciąż spotykam ludzi, którzy pamiętają moje wykonanie. Zapadłam więc w pamięć. I to jest bezcenne!

Artystyczną drogę obrała również twoja córka – Justyna Święs. Jest wokalistką, nawet już nagradzaną, autorką tekstów, ale i aktorką... Pomimo ogromu obowiązków zawodowych, znajdujesz czas, by podróżować za nią po kraju, zasiadać na widowni i wspierać ją w karierze...

Tego się nie da opisać. Ważny jest dla mnie osobisty rozwój, ale sukcesy dziecka, które zdarzają się dzięki talentowi otrzymanemu od Boga, cieszą najbardziej. Od najmłodszych lat potrafiła stanąć na scenie i oczarować ludzi swoim głosem.

Justyna nie kształciła się w kierunku śpiewu. Profesjonalnie zaczęła śpiewać jako piętnastolatka. Wtedy pracowała już nad pierwszą płytą, za którą w 2015 roku, wraz z Kubą Karasiem, otrzymała nagrodę polskiego przemysłu fonograficznego Fryderyka w kategorii „Fonograficzny debiut roku”. Przeszła przyspieszony proces artystyczny. Obserwuję ją. Widzę, jak zmienia się i jako kobietą, i jako artystką. Obrała sobie trudną

drogę. Z jednej strony śpiewa w zespole *The Dumplings*, do którego należy również wspomniany wspaniały Kuba, troszczący się głównie o sferę muzyczną. Jest bezpiecznie, bo są we dwoje. Z drugiej strony Justyna mierzy się ze swoją karierą – jako Justyna Święs. Pisze właśnie teksty na swoją solową płytę.

Nie odradzałaś córce, by nie wstępowała na tę trudną drogę?

Tego się nie da odradzić. Albo się człowiek rodzi artystą, albo nie.

Wróćmy do Wrocławia. To tutaj, jeszcze jako studentka, na deskach Teatru Polskiego wystąpiłaś w *Matce Joannie od Aniołów* w reżyserii Feliksa Falka. Grałaś jedną z zakonnic.

„Grałam” to za dużo powiedziane. Szalałyśmy na scenie, bo co mogły robić opętane zakonnice?! Bawiły nas nasze kostiumy. Wybrałyśmy się w nich raz na spacer po Wrocławiu. A że byłyśmy pięknymi dziewczynami, wszyscy się za nami oglądali, myśląc, że jesteście prawdziwymi siostrami zakonnymi.

Udział w przedstawieniu określiłabym studencką, pouczającą przygodą. Byłam wtedy na drugim roku, nie do końca świadoma tego zawodu i trudności z nim związanych. Twórcy szukali wśród studentów pomocy. Stanęłyśmy więc przed pierwszym wyzwaniem.

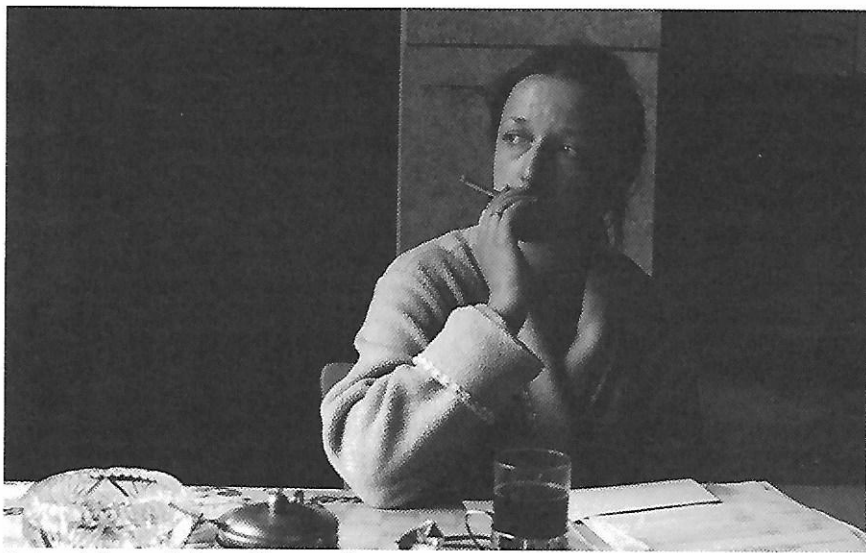
Tytułowa, główna rola należała do Ewy Skibińskiej...

No właśnie! Spotkanie z Ewą Skibińską, wybitną aktorką było dla mnie ogromnym przeżyciem! Pewnie jeszcze wtedy nie wiedziała, że zajdzie tak daleko. Była wtedy jeszcze przed współpracą z Krystianem Lupą. Trwającą zresztą do dziś. Tak naprawdę to Lupa ją odkrył dla teatru i wyeksponował jej kunszt. Skupiałam się podczas całej tej pracy nie na sobie, ale na niej. Miała przed sobą trudne zadanie. Widziałam, jak bardzo męczyła się na próbach. Miała do reżysera mnóstwo pytań. Nie wiedziałam wtedy, że aktor może zadawać ich aż tyle i że w ogóle może. Wydawało mi się wówczas, że aktor nie ma nic do powiedzenia. Jako studenci w ogóle nie mieliśmy poczucia wolności. Zwłaszcza takiej, jaką miała Skibińska w trakcie tworzenia swojej postaci. I to mnie najbardziej fascynowało.

Nie myślałaś o tym, by związać się zawodowo ze stolicą Dolnego Śląska?

Nie. Wróciłam na Śląsk za byłym mężem, Arturem Święsem. On też ukończył wrocławską szkołę teatralną. Po studiach dostał pracę w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Zaangażował go znakomicie prowadzący ten teatr dyrektor Dariusz Miłkowski. Ja również znalazłam tam zatrudnienie.

Zresztą za mężem czy nie – i tak bym wróciła, bo ja Ślązarka jestem! Nie mogłabym nigdzie indziej żyć ani tworzyć. Jestem utkana z tego miejsca, z tych ludzi, z tych tradycji...



Barbara Lubos w roli Gیزی w filmie „Ewa”.

Aktorką Teatru Rozrywki w Chorzowie byłaś przez cztery sezony. Bez predyspozycji wokalnych trudno byłoby zagrać ci w przedstawieniach, w których zagrałaś...

Kocham śpiewać, ale doszłam do wniosku, że teatr musicalowy to kompletnie nie mój klimat. Lubię inny rodzaj śpiewania. W musicalu bardzo źle się czułam. Ta forma teatralna rządzi się innymi prawami. Wspominam to jednak jako bardzo ciekawe doświadczenie.

W międzyczasie miałam też premię w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Zadzwonił do mnie Andrzej Zarycki i zaproponował udział w spektaklu *Królowa przedmieścia*, który wyreżyserował Jan Bleszyński...

Zgodziłaś się i zagrałaś gościnnie Manię...

To był właściwie mój debiut teatralny. Przygotowywaliśmy to przedstawienie przez pół roku. Dyrektor Miłkowski dał mi zielone światło, więc mogłam spokojnie próbować. To był wodewil. Każde doświadczenie tego typu utwierdzało mnie jednak w przekonaniu, że takie formy nie są dla mnie. Ale jako widz — uwielbiam!

Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, że na początku proponowano ci głównie do grania bohaterki natchnione? Byłaś albo Edytą Stein, zakonnicą, albo Matką Boską...
To prawda! Śmiałam się kiedyś, że funkcjonuję w skrajnościach. Zaczęłam od ról bardzo uduchowionych, a skończyłam na zupełnie innych (*śmiech*). Mój aktorski wachlarz jest bardzo szeroki. Przeszłam przez święte, przez matki Polki, ciężarne i kobiety o skrajnej profesji...

Po Chorzowie był Sosnowiec i Teatr Zagłębia. A tam — Maria w *Wieczorze Trzech Króli* Szekspira, Irina w *Trzech siostrach* Czechowa, Księżna Himlaj w *Operetce*, Młodzikowa w *Ferdynandzie*, Katarzyna ze *Ślubu Gombrowicza*, Rachel w *Weselu* Wyspiańskiego, tytułowa *Antygona* z dramatu Sofoklesa czy Hanka z *Moralności Pani Dulskiej* Zapolskiej. Złoty czas! Klasyka żywa!

Sama obrałam drogę w kierunku dramatu i powędrowałam do Sosnowca. Życie określałam przypadki. Zrobiłam w trzy dni zastępstwo w świetnym chorzowskim spektaklu *Tango Oberiu 1928* w reżyserii Łukasza Czuja. Dostałam za tę rolę nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona”, organizowanym przez Teatr Nowy w Zabrzu. Tam zobaczył mnie dyrektor Adam Kopciuszewski i zaprosił mnie do sosnowieckiego teatru dramatycznego. Spędziłam w nim ponad pięć lat. Tam też się wszystkiego nauczyłam. To była szkoła życia, szkoła aktorska w najlepszym wydaniu. Miałam szczęście zagrać naprawdę duże role. Jedną z nich była na przykład Księżna Himlaj — rola raczej dla starszej aktorki. Jacek Bunsch, reżyser spektaklu, zrobił zupełnie na opak i wszystkim nam się to opłaciło. A mnie na pewno. Zdobylam cudowne doświadczenie sceniczne grania w formie, grania bohaterek Gombrowicza, właśnie tą formą, którą kocham. Paradoksalnie, takie granie daje mi pełną wolność. Ten rodzaj teatru i wypowiedzi bardzo mi odpowiada.

Zagrałam też w *Trzech siostrach* w reżyserii Bogdana Cioska...

Za rolę Iriny odebrałaś w 2001 roku śląską nagrodę — Złotą Maskę...

Cieszę się, że moja postać została dostrzeżona. Kochanego Czechowa zagrałam raz i nigdy więcej się to już nie powtórzyło. Mamy inne czasy. Obecnie gra się więcej tekstów współczesnych, a klasyka jest pomijana. A szkoda, bo przecież repertuar klasyczny uczy najbardziej. **W międzyczasie — *Cholonek* w reżyserii Mirosława Neinerta, grany z powodzeniem od piętnastu lat na deskach katowickiego Teatru Korez. Nudzi czy wyzwala potencjał?**

Wtedy otworzyły się przede mną nowe drzwi i stanął w nich nowy dla mnie typ bohaterki. Może nie do końca nowy, bo ze śląskim materiałem zetknęłam się kilka lat wcześniej, grając Erykową w *An-*

gelusie. Był to film Lecha Majewskiego o Śląsku, w którym należało mówić gwara. Przekonałam się wówczas, że warto było ją pielęgnować.

Przydała mi się też w *Cholonku*, będącym również śląską opowieścią... Gramy to przedstawienie już tyle lat i wszyscy się w nim starzejemy. Wciąż jednak jest dla nas wielką przygodą i wciąż wyzwala pozytywne emocje. Z trwogą myślę o tym, że mogłaby się ona kiedyś skończyć. Nigdy nie zagrałiśmy *Cholonka* tak samo. Często jest to improwizacja i dostosowanie się do sytuacji, która wydarza się tu i teraz.

Wydaje mi się, że moim zawodowym kluczem są spotkania z ludźmi, którzy określają mnie i moją pracę. Spotkałam się w tym spektaklu z fantastycznymi ludźmi — Grażyną Bułką, Ewą Grysko, Izabelą Malik, Mirkiem Neinertem, Dariuszem Stachem i Robertem Talarczykiem.. Mówimy o sobie rodzina cholonkowska lub klan cholonkowski. Świetnie się ze sobą bawimy. Pokochaliśmy się, jak w prawdziwej śląskiej rodzinie. To nie jest czcze gadanie. My się naprawdę bardzo lubimy i bardzo szanujemy.

Jak przystało na relacje w małej ojczyźnie...

Śląsk jest naszą małą ojczyzną. Bardzo rozwojową. Na moich oczach powstała Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia, powstało Muzeum Śląskie, powstało Międzynarodowe Centrum Kongresowe, mające bardzo dobrą energię. Często jeżdżę na to wzgórze, by popatrzeć z niego na całe Katowice. Tam odbywa się często Industriada, coroczne wydarzenie promujące Szlak Zabytków Techniki Województwa Śląskiego. Jedną z imprez towarzyszących Industriady 2016 był spektakl *Rasa. Pieśni antracytu*, w którym miałam okazję wystąpić. „Rasa” — a propos Ślązaków. Śpiewaliśmy piosenki, dotyczące tematu górnictwa i wspólnoty górników — trudu ich pracy i specyfiki społeczności. Ze sceny rozbrzmiewały lokalne pieśni tradycyjne i melodie z Wysp Brytyjskich, Stanów Zjednoczonych i Polski.

Autorem tłumaczeń tekstów na język śląski był profesor Zbigniew Kadłubek, obecnie dyrektor Biblioteki Śląskiej w Katowicach, bardzo ciekawie myślący o Śląsku i o zbiorowości Ślązaków. To genialne widowisko w reżyserii Marcina Gawła zostało zarejestrowane i wydane na płytach. Można więc posłuchać, i obejrzyć. **Wygląda na to, że Śląsk muzyką stoi?!** Nie tylko, ale rzeczywiście na Śląsku jest obecnie niesamowity boom na rozwój muzyki. Powstaje mnóstwo zespołów, bardzo prężnie działa nasza Akademia Muzyczna, w której studiują ludzie z całego świata. Działa w niej wydział jazzowy na najwyższym poziomie, na którym pracują najlepsi muzycy.

Mamy OFF Festival Katowice, tworzony przez Artura Rojka, związanego

przez lata z grupą Myslovitz. Mamy też Tauron Nowa Muzyka Katowice, festiwal muzyki elektronicznej, łączący postindustrialne lokalizacje z futurystycznymi dźwiękami. Oba przygotowywane są na światowym poziomie.

Rozwija się nie tylko kultura muzyczna. Prężnie działa również Wydział Radia i Telewizji im. Krzysztofa Kieślowskiego, kształcący utalentowanych reżyserów, o których bardzo szybko robi się w Polsce głośno. Dla mnie Śląsk jest miejscem, które daje nadzieję!

Od dłuższego czasu zafascynowany jesteś teatrem śląskim jako zjawiskiem. Zajmuje mnie pojęcie prawdy – czy prawdziwości – która nie jest tak oczywista w przypadku innych teatrów. Może poza Teatrem im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy za dyrekcji Jacka Głomba, znakomitym teatrem na polskiej mapie teatralnej. Odnoszę wrażenie, że i ty wciąż jesteś teatrem śląskim zafascynowana, a sam Teatr Śląski w Katowicach stał się twoim drugim domem...

I jako instytucja – Teatr Śląski, i jako teatr śląski – jako obszar i jego problematyka. Każdemu artyście życzę prawdy, wynikającej z rzeczywistego, szczerzego odczuwania. Pozwala ona na uczciwe sceniczne wypowiedzi.

Często słyszę, że ja nie muszę niczego grać, niczego udawać. Wystarczy, że będę na scenie prawdziwa. Traktuję takie słowa jak komplement.

Nie jestem obserwatorką tego, co dzieje się w śląskim teatrze. Jestem wewnątrz. I to za sprawą Roberta Talarczyka. Przygoda ze śląskim teatrem i jego autentycznością rozpoczęła się od *Cholonka*, o którym już kilkakrotnie wspominaliśmy. Kontynuacja, jeśli tak można powiedzieć, była *Piąta strona świata* na podstawie powieści Kazimierza Kutza, którą Robert Talarczyk, już jako duże przedstawienie, wyreżyserował w Teatrze Śląskim.

Po tych dwóch przedstawieniach, a właściwie trzech, bo jeszcze należy wspomnieć o spektaklu *Wujek 81. Czarna balada*, przyszedł czas na *Dracha* Szczepana Twardocha, którym Talarczyk chciał zamknąć niejako cykl teatralnych opowieści o Śląsku. Oby to nie było ostatnie przedstawienie o tej tematyce...

Nie dajesz się jednak zaszufładować w tematyce lokalnej. Grasz na katowickiej scenie między innymi w spektaklach na podstawie utworów Schulza, Wyspiańskiego czy Rymkiewicza. Współpracujesz z ważnymi reżyserami. Wystarczy wspomnieć o Radosławie Rychciku czy Piotrze Cieplaku.

Spotkanie z Piotrem Cieplakiem przy *Powrocie Europy* było ważną artystyczną przygodą dla całego zespołu. Ten spektakl był wyjątkowo precyzyjnie zbudowany. Miał trudną konstrukcję dramatyczną. To była zegarmistrzowska robota. Technika miała ogromne znaczenie.

Niemniej, kiedy trzeba było odpalić pe-tardę, odpaliliśmy nasze dusze... Wtedy dopiero spektakl miał sens. Cieplak pozwala się uwolnić. Kilka razy zdarzyło mi się, że zostałam przez reżyserów zamknięta i nie potrafiłam się w danej przestrzeni otworzyć. To prowadzi do aktorskiego niepowodzenia. Nieprzyjemnie się w takim przedstawieniu gra i aktor ma poczucie klęski. U Cieplaka jest precyzja, a w jej ramach – ogromna wolność aktora i zespołu.

Twoje wejście do Teatru Śląskiego było dość mocne i zauważalne. Myślę tu o roli Lady Makbet, świetnej roli, jak pisali o niej krytycy.

Przydało mi się przygotowanie, które dostałam w Sosnowcu. Granie dużych ról sprawiło, że przestałam się bać. W dobrym tego słowa znaczeniu. Myślę tu przede wszystkim o odwadze w kreowaniu postaci i otwarciu na wyzwania. *Makbeta* reżyserował Henryk Baranowski, ówczesny dyrektor artystyczny Teatru Śląskiego. Bardzo zresztą zmienił tożsamość tego miejsca, zarysował jego przyszłość po swoim. Casting do *Makbeta* trwał pół roku. Przewinęło się przez niego mnóstwo aktorek i aktorów. To był spektakl polsko-angielski. W rolę tytułowego bohatera w premierowym przedstawieniu wcielił się Peter Tate. Język oryginału zawsze brzmi lepiej niż język przekładu. Publiczność słuchała wygłaszanych przez niego monologów z zapartym tchem. Ze mną włącznie Musiałam uważać, żeby się nie zaśłuchać, bo w końcu grałam jego żonę...

Twoje aktorskie emploi jest bardzo szerokie. Znakomicie odnajdujesz się w rolach komediowych i dramatycznych. W których czujesz się najlepiej? Lubisz grać i komediowe, i dramatyczne, choć bliżej mi jednak do ról dramatycznych i tragicznych. Zawsze emocjonalnie byłam bardziej dojrzała w stosunku do swojego wieku i często grałam starsze osoby od siebie. Teraz jest odwrotnie. Mam do życia coraz większy dystans. Przestałam cierpieć za miliony...

Cechą i podstawą twojego aktorstwa – czy to teatralnego, czy to filmowego, choć w teatralnym widać ją bardzo wyraźnie, jest prawdziwość. Płyniesz ona z serca czy z techniki?

Technika jest niezbędna do tego, by grać, by wyjść na scenę czy stanąć przed kame-

rą, ale ja jestem aktorką intuicyjną, utkaną z emocji. Tak też buduję swoje role. Każda jest zawsze bardzo emocjonalna. Mam przy tym jedną zasadę – muszę być po prostu przekonana do tego, co robię i w to wierzyć. Nigdy nie zrobiłabym czegoś, co byłoby wbrew mnie.

Jaki jest więc przepis na dobre śląskie aktorstwo?

Dla mnie aktorstwo to... intuicja. To, co w duszy gra, ten żar wewnętrzny. Dzięki temu ten zawód mnie nie męczy i nie nuży i wciąż sprawia ogromną radość.

Tak się zastanawiam, czy Śląsk nie stał się granicą twojego świata... Myślę tu nie tylko o roli w *Cholonku*, ale również o *Matce* z *Piątej strony świata*, *Mamie Rafała* z *Wujka 81...*, *Dziennikarce* z *Himalajów* czy *Valesce Magnor* z *Dracha*.

Nie. Absolutnie. Śląsk stał się pretekstem do poznania siebie i świata oraz wyjścia do tego świata.

Przed dziesięcioma laty stworzyłaś niezapomnianą kreację w filmie *Ewa* w reżyserii Adama Sikory i Ingmara Villqista. Wydawało się, że Giza otworzy ci drzwi do filmowego świata. A może otworzył, ale ty nie skorzystałaś?

Drzwi otworzył mi *Angelus* w reżyserii Lecha Majewskiego, dziś już chyba kultowy. Ale to za rolę Gیزی, główną rolę, otrzymałaś, podczas siódmej edycji Festiwalu Polskich Filmów w Nowym Jorku, *Nagrodę im. Elżbiety Czyżewskiej dla najlepszej aktorki*, przyznaną zresztą podczas tego festiwalu po raz pierwszy...

Ten film to osobny rozdział w moim życiu, bardzo ważny. To spotkanie z wybitnymi twórcami. Mimo iż od premiery upłynęło wiele lat, wciąż jest pokazywany na małym ekranie.

Teatr czy film? Co twoją wielką miłością?

Teatr. Największą. Film jest bardzo wymagający i zawsze wiele więcej mnie kosztował. Aktor ma na ostateczny kształt mniejszy wpływ niż w przypadku spektaklu teatralnego. Teatr dla mnie jest bardziej prawdziwy. Jest zmienny. Daje większe możliwości do improwizacji. W filmie już niczego nie można zmienić, a czasem bardzo by się chciało. Zawsze mnie to bardzo boli. A w teatrze mam większy wpływ na rozwój mojej postaci czy sceny. W teatrze czuję się bardziej wolna...

Grzegorz Ćwiertniewicz – doktor nauk humanistycznych (historia filmu i teatru polskiego po 1945 roku), polonista, wykładowca akademicki, autor wydanej pod koniec 2015 roku biografii Krystyny Sienkiewicz – *Krystyna Sienkiewicz. Różowe zjawisko* (2015) oraz książki *Amantka z pieprzem* – wywiadu-rzeki z Grażyną Barszczewską (2019); należy do Polskiej Sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych (AICT/IATC); jego teksty można przeczytać m.in. w „Teatrze”, „Śląsku” i „Polonistycie”; współpracował jako recenzent z Nową Siłą Krytyczną Instytutu Teatralnego im. Z. Raszewskiego w Warszawie (e-teatr.pl), wortalu „Dziennik Teatralny” i wortalu „Teatr dla Was”; obecnie związany z internetowym przeglądem teatralno-literackim „Yorick” Polskiej Sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych.